

Wojciech Nowicki*

PODSTAWOWE IDEE NEOKONSERWATYSTÓW AMERYKAŃSKICH

Wprowadzenie¹

Poniższy tekst jest częścią nieco obszerniejszego studium, w którym polityczny neokonserwatyzm amerykański analizowałem jako fakt kulturowy, zespół idei. Mówiąc lapidarnie, zastanawiałem się, jak został uformowany ten szczególny (a może nawet: tak szczególny) klucz do pojmowania politycznego świata. Oczywiście, neokonserwatyzm jest także faktem politycznym. Stany Zjednoczone jako hiper mocarstwo i kandydat (wciąż chyba tylko kandydat?) na hegemon polityki światowej oraz polityka obecnej administracji USA jako śmiałe przedsięwzięcie, mają wśród licznych atutów także i neokonserwatyzm – pewną spójną wizję świata, z zapałem rozwijaną, podsuwaną i brnioną przez wielu amerykańskich analityków i publicystów, którym, jak można zakładać, leży na sercu dobro ich kraju.

Wizja ta zakłada niezmiernie aktywną rolę USA w polityce międzynarodowej, a na jeszcze bardziej fundamentalnym poziomie – ich niemal wszechmocną wpływowość. Jej realizacja przez Waszyngton przekłada się na skutki polityczne nie tylko dla macierzystego kraju, ale i dla innych członków społeczności międzynarodowej, czy wręcz dla całego systemu światowego. Warto zwrócić uwagę, że neokonserwatyzm, w odróżnieniu od większości narodowych koncepcji politycznych, które postulują zachowania państwa i czasem w końcu rzeczywiście wpływają na nie, jest właśnie przede wszystkim wizją świata, zwieńczoną dopiero wnioskami co do roli w nim Stanów Zjednoczonych. Można zaryzykować twierdzenie, że wyrazista wizja świata spełnia w neokonserwatywnym systemie idei funkcję zarezerwowaną na ogół dla analizy geopolitycznej, inspirując właściwie bezpośrednio sądy o interesie narodowym państwa. Analiza geopolityczna pozostaje z kolei w tym systemie uderzająco

wycofana w głąb, jak gdyby Stany Zjednoczone nie leżały nigdzie – nie tylko na geograficznej mapie świata, ale i na mapie powiązań ekonomicznych czy społecznych. Jeśli w jakimś stopniu są to nieuniknione skutki przyjęcia perspektywy hiper mocarstwa, to trudno oprzeć się wrażeniu, że strategia, jaką Stanom Zjednoczonym proponują w ostatnich latach neokonserwatyści, najlepiej pasowałaby do horyzontu zadań jakiejś pozaterytorialnej anty-AI-Kaidy. Kto wie, może program neokonserwatywny dałoby się też bez większych modyfikacji przenieść na grunt innego państwa, które osiągnęłoby odpowiedni potencjał?

Idee neokonserwatywne w pierwszej fazie ich udziału w grze politycznej miały doprowadzić do wzrostu potęgi i prestiżu USA oraz upadku ich zimnowojennego przeciwnika. Tego drugiego dzieła, z pozoru trudniejszego, dokonały trwale i bardziej bezspornie. Dziś, po paru latach pogłębiającego się kryzysu *nation building* w Iraku, w momencie kryzysu gospodarczego w USA i na tle przygotowań do poważnej, tak czy inaczej, zmiany w Białym Domu, można przypuszczać, że historia się powtórzy i neokonserwatyzm znów zaważy silniej na zmianach politycznych poza Stanami Zjednoczonymi niż wewnątrz nich. Atut jest atutem dzięki temu, że używa się go w miarę potrzeb, toteż Ameryka w najbliższych latach będzie pewnie grać z powodzeniem inną kartą. Nie może to jednak powstrzymać rozpędzonego przy pomocy idei neokonserwatywnych procesu dezintegracji tych systemów politycznych na Bliskim i Środkowym Wschodzie, które zbudowane są na oporze wobec Zachodu. Choć rezultaty tego procesu trudno przewidzieć, to prawdopodobna wydaje mi się przewlekła, połowiczna, nieharmonijna i dysfunkcyjna demokratyzacja Iraku, Iranu, Afganistanu czy nawet Arabii Saudyjskiej, przypominająca historię Rosji z ostatnich piętnastu lat.

Poniższa analiza czterech wybranych elementów ideologii neokonserwatywnej, które uznałem za najbardziej charakterystyczne, może więc, w kontekście sąsiadujących z nią tekstów innych autorów, posłużyć do refleksji nad naturą doktryn, którym – niezależnie od ich treści i nawet intencji – łatwiej jest zmieniać świat niż dbać o macierzystą dla nich *polity*.

Antykomunizm

Omawiając idee neokonserwatywnego porządku bardziej historycznym niż logicznym, pora prawdopodobnie przejść od opcji dotyczących polityki wewnętrznej do najbardziej wyraźnego rysu w tym, co neokonserwatyści – bezpośrednio po tym, jak dali się poznać jako odrębne środowisko – mieli do powiedzenia o polityce międzynarodowej, czyli do ich antykomunizmu. Rodzi się tu przede wszystkim pytanie, czy był to antykomunizm wtórny czy pierwotny; inaczej mówiąc, czy radykalizm apelów *neoccons* o zwalczanie wpływów ZSRR wynikał z przyjęcia celu nadrzędnego, który takiej postawy wymagał, czy też

* Wojciech Nowicki, tłumacz z języka angielskiego i niemieckiego; studiował prawo na Uniwersytecie Śląskim oraz stosunki międzynarodowe w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Obecnie przebywa w Wielkiej Brytanii.

¹ Rozdział przygotowany na użytek niniejszej publikacji z końcem stycznia 2008 r.

po prostu z niechęcią do komunizmu. Po drugie, należałoby określić, co odróżnia antykomunizm neokonserwatywny od innych jego postaci, właściwych np. amerykańskim konserwatystom tradycyjnym. Po trzecie – czy i w jakim stopniu antykomunizm ten był, ściśle mówiąc, raczej „antysowietyzmem”, a więc – czy rozróżniał między ideą a jej wcieleniem i siłą polityczną, która za nim stała, a jeśli tak – to na której z tych płaszczyzn koncentrował się w swym sprzeciwie.

Nie warto chyba wypowiadać się o antykomunizmie neokonserwatystów bez przytoczenia dość uderzającej opinii, jaka znalazła się w niedawnym (2006) opisie ruchu, sporządzonym przez Francisa Fukuyamę. Przypominając radykalno-lewicowe korzenie neokonserwatyzmu z lat 30. i 40., pisze on: „najważniejszym spadkiem po środowisku CCNY [City College of New York – uczelnia, ucieleśniająca owe korzenie] jest intensywny antykomunizm i niemalże równie silna antypatia do liberałów, którzy sympatyzowali z komunizmem i nie potrafili dostrzec w nim zła”². „Uchwycenie genezy tego liberalnego antykomunizmu jest decydujące dla zrozumienia pochodzenia neokonserwatyzmu i jego sprzeciwu wobec utopijnej inżynierii społecznej, który stanowi najtrwalszy motyw całego ruchu”³ – konkluduje Fukuyama. Zawarte są tu co najmniej dwie istotne sugestie. Po pierwsze, antykomunizm, jeśli nawet znalazł się w przyszłości na usługach celów nadrzędnych czy ogólniejszych, był w pewnym momencie – może wraz z innymi czynnikami – właściwą sprężyną wyodrębniania się neokonserwatyzmu. Choćby więc rozum przekonywał, że antykomunizm wyrażany w latach 70. przez autorów „Commentary” był raczej funkcją pragnienia światowego prymatu USA, to wiedza historyczna podpowiada, że *neocons* pierwszego pokolenia mogli też zwalczać komunizm intuicyjnie, jako zło samo w sobie, a może i ze złości, że kiedyś sami dali się na niego nabrać. Po drugie, Fukuyama dociera do dwoistości stosunku neokonserwatystów do ich naturalnego liberalnego otoczenia. Z jednej strony bowiem liberalizm w swych ogólnych założeniach jest opcją, z którą utożsamiają się najsilniej – po odrzuceniu lewicowego rewolucjonizmu jedyną, z którą w ogóle mogliby się utożsamić. Z drugiej strony, dostrzeżone z bliska u liberałów skłonności (do złudzeń i ustępstw wobec komunizmu) jawią się im – nie bez powodu akurat im – jako szczególnie szkodliwy element amerykańskiego życia politycznego, w sferze tego, na co mają wpływ, najbardziej godny zwalczania. Jeśli poglądy ekonomiczne, społeczne i nawet kulturalne zasadniczo łączą *neocons* z liberałami, jeśli wobec pokus amerykańskiej izolacji jedni i drudzy są podobnie krytyczni, to stosunek do komunizmu jest tym polem, gdzie *neocons* oddzielają się od tych, do których im najbliższe – zatem można wysunąć przypuszczenie, że bez ich własnej formy antykomunizmu w ogóle by ich nie było.

² F. Fukuyama, *Ameryka na rozdrożu*, tłum. R. Staniecki, Poznań 2006, s. 26–27.

³ Ibidem.

Co składa się na tę specyfikę? Najłatwiej daje się odczuć wysoka temperatura ich antykomunizmu: przekonanie o powadze zagrożenia ze strony tego akurat przeciwnika, twarda odmowa kompromisu z nim, przypisywanie mu zamiarów bezwzględnie wrogich, a także gotowość, niemal prowokacyjna, do otwartego dyskursu publicznego w tych kwestiach. Zarazem jednak jest to antykomunizm dlatego – możemy podejrzewać – tak żarliwy, że oparty na poczuciu szczególnej własnej wiedzy, głębszej niż przeciętna, o sekretach komunizmu i na osobistym, emocjonalnym stosunku do niego, właściwym wszystkim tym, którzy ulegli niegdyś jego wpływowi, poznając na własnej skórze mechanizm zauroczenia, a potem się z niego wyzwolili. Domysłem tym odpowiada spostrzeżenie Bartyzela: „o ile dla [tradycyjnych] konserwatystów komunizm był przede wszystkim zagrożeniem dla religii, tradycji i hierarchii, o tyle *neocons* upatrywali w nim wroga indywidualnej wolności i demokracji liberalnej, [a ich] ambicją (...) było «przewyciężyć lewicową krytykę demokracji»”⁴ (warto dodać, że widzieli w nim także, znów w odróżnieniu od innych konserwatystów, siłę, z którą USA powinny we własnym interesie walczyć o wpływy w świecie zewnętrznym).

Nazywając się „antykomunistami”, neokonserwatyści odwoływali się zapewne do powszechnej amerykańskiej metonimii: z zaatlantyckiej perspektywy komunizm był po prostu tym, co zapanowało w Rosji. Sami jednak byli świadomi pewnych subtelności kariery tej ideologii i wahałbym się zweryfikować ich „antykomunizm” jako „antysowietyzm” oraz twierdzić, że komunizmowi w innych wcieleniach *neocons* okazywali, czy gotowi byli okazać, więcej łaski. Tym bardziej, że – o czym jeszcze będzie mowa – nie przyjęli nigdy „realistycznej” optyki, charakterystycznej np. dla działań Henry Kissingera, w której państwo uwzględnia w swych rachubach tylko inne państwa.

Co stało się z neokonserwatywnym antykomunizmem po zimnej wojnie? Z pewnością, przynajmniej na chwilę, zawisł w powietrzu, przyczyniając się do kryzysu ruchu neokonserwatywnego, czy może tylko świadomości lub tożsamości neokonserwatywnej, w początkach lat 90. Jeśli jednak pójdzie się za cytowanym wyżej rozumowaniem Fukuyamy, warto zastanowić się, czy w nowej sytuacji z dawnego antykomunizmu nie wydestylował się „sprzeciw wobec utopijnej inżynierii społecznej”. O ile jest dla mnie dyskusyjne, czy ideę w ten sposób określoną można uznać za „najtrwalszy motyw całego ruchu” (w toku współczesnego *nation building* „demokratyczni globaliści” walczą wprawdzie z „utopijną inżynierią społeczną”, lecz raczej jej własną bronią), to Fukuyama zdaje się trafiać w sedno, pisząc kilka zdań dalej o kontynuacji dokonanego przez Kristolę i jego kolegów z CCNY zerwania z komunistycznym zauroczeniem.

⁴ J. Bartyzel, *Neokonserwatyzm* [w:] *Encyklopedia „białych plam”*, Radom 2004, s. 37 (w końcowym sformułowaniu autor cytuje tekst: *Czym jest neokonserwatyzm? Z Normanem Podhoretzem rozmawiają Wiesław Walendziak i Witold Balaaban*, „Młoda Polska” 4 XI 1989).

niem: „Niebezpieczeństwo wypaczenia dobrych intencji było tematem, który w następnym pokoleniu na trwałe zagości w pracach wielu przedstawicieli tego środowiska”⁵. Neokonserwatyści jako mistrzowie podejrzeń i antykonstruktywistami – taką hipotezą chciałbym zakończyć uwagi o naturze ich antykomunizmu.

Demokratyzacja społeczności międzynarodowej

Przekonanie, że antykomunizm leży w amerykańskim interesie narodowym, miało dwa główne uzasadnienia: jedno twarde, oparte na bezwzględnej kalkulacji, drugie zaś „miękkie”, wysnute ze świata idei i niewiele warte, gdyby nie przyjąć, że społeczeństwa i ich opinie w równej mierze jak rządy decydują o grze sił w polityce międzynarodowej. Istotą pierwszego z nich było powątpiewanie w uspokajający sens teorii „wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia” i przekonanie, że Związek Radziecki może znaleźć dość powodów do wyprzedzającego ataku jądrowego na USA (dowodził tego m.in. Albert Wohlstetter, analityk Rand Corporation⁶). Drugie uzasadnienie sugerowało, że Stany Zjednoczone powinny zabiegać o rozprzestrzenianie na świecie demokracji. O ile pierwsze w naturalny sposób należało do specjalistów od strategii, a nie szerokich ruchów politycznych, i raczej sprzyjało ideologii neokonserwatywnej niż było jej częścią, o tyle drugie stanowiło kolejny ważny motyw myśli *neocons*.

Źródłem ich nacisku na szerzenie demokracji może być w pewnym stopniu wrażliwość na kwestie ustrojowe w polityce zagranicznej, jaką zarazili się od Leo Straussa: niekoniecznie ma ona prowadzić do dobitnych wniosków typu: „demokracje nie walczą ze sobą nawzajem”, a raczej przewidywać naturalną bliskość i wzajemną użyteczność państw o podobnej organizacji wewnętrznej. Niezależnie od nauk Straussa, neokonserwatyści dostrzegli, że zimną wojnę trzeba toczyć na warunkach narzuconych przez przeciwnika, czyli w wielkim stopniu na polu konkurencji ideologicznej lub ją przegrać. Zachodu nie stać – sugerowali między wierszami w latach 70. – na wierność własnej tradycyjnej konceptualizacji stosunków międzynarodowych. Obstawiała przy niej tymczasem amerykańska polityka zagraniczna pod kierownictwem Kissingera, który – jako realista starej daty – dbał o ustroje wewnętrzne partnerów i rywali USA znacznie mniej niż o ich potencjał i wzajemne relacje.

Demokratyzacja świata okazała się dogodnym elementem budowy prestiżu Stanów Zjednoczonych nie tylko jako supermocarstwa skazanego na ideologiczną rywalizację i lidera „wolnego świata”, ale też jako państwa nie-etnicznego, ufundowanego w jego XVIII-wiecznych korzeniach bardziej na idei demokracji niż na jakichkolwiek innych więzach. Dodatkowe perspektywy przed

konceptcją „eksportu demokracji” otwiera amerykańska tradycja misji do wypełnienia w świecie, wywodząca się z XIX-wiecznej doktryny *Manifest Destiny* – przeznaczenia do opanowania kontynentu amerykańskiego, a także stosunkowo mało terytorialny, potencjalnie „imperialny” charakter państwa.

Stąd bardzo blisko już do kolejnej, istotnej idei *neocons*, związanej zresztą z poparciem dla ekspansji demokracji. Wcześniej jednak chciałbym zwrócić uwagę na skuteczność i implikacje wprowadzania w życie projektu szerzenia demokracji. Idea demokratyzacji, przyłożona do rzeczywistości świata schyłku XX w., zderza się przede wszystkim z problemem nierównomierności postępu tego procesu na Zachodzie i poza nim. Wcześniejszy szermierz demokratyzacji świata przez Amerykę, Woodrow Wilson, mógł jeszcze liczyć, że zadanie ogranicza się praktycznie do Europy, której ewolucja w taki czy inny sposób przeniesie się na resztę świata. Po II wojnie światowej emancypacja Trzeciego Świata skomplikowała to zadanie, a jego realizacja była obciążona szczególną dwuznacznością w okresie zimnowojennej rywalizacji supermocarstw o nadanie kierunku procesom „narodowo-wyzwoleńczym”. Kontynuatorzy idei Wilsona musieli stawić czoła nowym wątpliwościom: Jak rozwiązać konflikt między prawem narodów do samostanowienia a logiką szerzenia demokracji? Jak, z punktu widzenia wartości demokratyczno-liberalnych i idei „postępu”, ma się szerzenie demokracji do promocji wyzwolenia społecznego opartego na receptach marksistowskich? A wreszcie, czy demokrację da się zaszczyć na gruncie cywilizacji nie-zachodnich, którym wydaje się z natury obca, a jeśli nawet tak, to, czy można to czynić przy użyciu środków bezpośredniego nacisku – nawet, jeśli nie jest to nacisk militarny?

Dwa pierwsze z tych pytań pozostawały szczególnie aktualne, póki trwał ład zimnowojenny, a pozytywna odpowiedź na nie sprzyjała twardemu kursowi antysowieckiemu, tak czy inaczej nieodłącznemu od ówczesnego neokonserwatyizmu. Dwa następne pytania zyskały na znaczeniu w ciągu ostatnich piętnastu lat. Dostrzeżone przez Samuela Huntingtona kolejne, zągęszczające się w XX wieku, „fale demokratyzacji”⁷ upewniały, że przemiany demokratyczne w krajach tradycyjnie patriarchalnych czy despotycznych nie są mrzonką. Poczucia sensu oraz nieuniknioności tego procesu dostarczała też – odczytywana zapewne nie całkiem zgodnie z intencjami autora – słynna teza Fukuyamy o „końcu historii”, u schyłku XX w. wyraźnie zbliżającej się do liberalno-demokratycznego portu przeznaczenia. W tej optymistycznej atmosferze, charakterystycznej dla pierwszej pozimnowojennej dekady, dwaj czołowi, i bardziej bojowi od Fukuyamy, neokonserwatyści drugiego pokolenia, William Kristol i Robert Kagan, proklamowali zwrot „w stronę neo-reaganowskiej polityki

⁵ F. Fukuyama, op.cit, s. 27.

⁶ Por. ibidem, s. 39–44.

⁷ S.P. Huntington, *Przypływy i odpływy demokratyzacji*, tłum. M. Tański, „Res Publica Nowa” 1993, nr 5, s. 72–78.

zagranicznej”⁸, zakładającej systematyczne wprowadzanie demokracji w pozbawionych jej krajach świata (nazwane później przez Krauthammera – krytyka tej koncepcji – „demokratycznym globalizmem”) jako instrument umacniania globalnej hegemonii Stanów Zjednoczonych.

Problem nabrał ostrości w pierwszych latach nowego wieku, kiedy, w następstwie ataków terrorystycznych z 11 września 2001 r., objawił się ukryty aspekt chaosu ładu pozimnowojennego, czyli, mówiąc bardziej neokonserwatywnym językiem Krauthammera, zakończyły się dziesięcioletnie „wakacje od historii”. Wkrótce administracja George’a W. Busha skutecznie usunęła dwa bliskowschodnie rządy, uznane za groźne dla interesów USA, i podjęła zadanie zbudowania w ich miejsce nowego ustroju (*nation-building*) – oczywiście, demokratycznego. Jednocześnie w publicystyce neokonserwatywnej, przede wszystkim Charlesa Krauthammera, pojawiła się idea dalszej koncentracji tego rodzaju wysiłków na regionie Bliskiego Wschodu, jako obszaru potencjalnie szczególnie groźnego dla ładu globalnego (a tym samym dla interesów USA), a przy tym dramatycznie pozbawionego demokratycznych struktur władzy. Te kroki polityków i projekty intelektualistów spotykają się na ogół z mniej lub bardziej miażdżącą oceną zachodniej opinii publicznej, w której podnosi się, jeśli już nie sprzeczność między tradycjami islamu a demokracją, to arogancję i utopijność odgórną demokracji Iraku i Afganistanu, a także nieumiejętność postępowania Amerykanów jako okupantów łatwo opanowanego Iraku. Sami *neoccons*, choć przeżywają wahania wobec błędów i problemów w realizacji ich idei, są ogólnie rzecz ujmując, skłonni widzieć przykłady *nation-building* jako swój sukces – tak przynajmniej wynika z entuzjastycznego tonu komentatora Krauthammera po wyborach w Iraku w 2005 r.⁹

Idea szerzenia demokracji ze względu na jej walor propagandowy narażona jest na nieuniknione podejrzenia o to, że jej zwolennicy głoszą ją nieszczerze, a traktują czysto instrumentalnie. Dość rozpowszechnionemu rozumowaniu, w myśl którego oficjalna amerykańska retoryka o wprowadzaniu demokracji w Iraku jest tylko przykrywką dla mniej szlachetnych celów interwencji, takich jak kontrola nad ropą, korzyści dla postępu technologicznego w wojskowości, czy – skądinąd niekwestionowane – umacnianie światowej dominacji USA, trudno odmówić logicznych podstaw. Zarazem jednak trudno byłoby wytłumaczyć względami taktycznymi np. koncepcję demokracji Arabii Saudyjskiej, która sprawdzone, sprawnie funkcjonujące i stosunkowo niezagrożone stosunki amerykańsko-saudyjskie pragnie zastąpić postępowaniem obarczonym bezpośrednim ryzykiem, a jednocześnie narażonym na międzynarodowe zarzuty bezprawnej ingerencji w sprawy innego państwa.

⁸ Por. Kristol, W. Kagan, R., *Towards a Neo-Reaganite Foreign Policy*, „Foreign Affairs”, Jul/Aug, 1996, vol. 75, issue 4, s. 18.

⁹ Krauthammer, C., *The Neoconservative Convergence*, „Commentary”, Jul/Aug, 2005, vol. 105, issue 1.

Polityka jako misja

Przyglądając się myśli neokonserwatywnej, trudno nie zauważyć uparcie powracającej tendencji, z powodu której nawet najbardziej rażących ekscesów polityki siły, jakie zdarza się neokonserwatystom proponować, nie sposób zaliczyć do nurtu typowej *Realpolitik*. Jest to skłonność do wyznaczania wspólnotom politycznym dalekosiężnych i idealistycznych celów i postrzegania w ich kontekście podejmowanych, choćby z konieczności, działań. *Neoccons* dostrzegają tę skłonność u siebie samych, postulują ją dla Stanów Zjednoczonych jako państwa, i, choć już mniej konsekwentnie i wyraziście, liczą się z nią u innych aktorów polityki międzynarodowej – przede wszystkim u przeciwników. Stosunkowo najmniejszą wrażliwość na ten misyjny wymiar polityki ujawniają w stosunku do Unii Europejskiej: Robert Kagan w studium *Potęga i raj* europejskiej odmowy intensywnych zbrojeń i odpowiedzialności za świat nie rozpatruje od strony idei budowy oazy wolności, bezpieczeństwa i dobrobytu, ale powołuje się na wypalenie wojowniczych skłonności po II wojnie światowej i „psychologię słabości”¹⁰. Wizja świata oparta na trwałych, idealistycznych motywach uczestników polityki międzynarodowej z natury rzeczy jest dość egocentryczna: własne pragnienia traktuje się z większą uwagą i zaufaniem niż cudze, które nabierają znaczenia dopiero wtedy, gdy widzi się w nich zagrożenie. Lewicowi liberałowie mogli w pewnym stopniu podzielać tę wizję, lecz zgoła inaczej widzieli misję Stanów Zjednoczonych i nie przywiązywali do niej takiej wagi, jak do misji całej społeczności międzynarodowej, zobowiązanej do tworzenia świata bardziej pokojowego, sprawiedliwego i dostatniego. W ostrej sprzeczności z wizją neokonserwatywną pozostawały założenia architektów polityki zagranicznej w ekipach Nixona i Forda, sceptyczne i redukcjonistyczne w analizie motywów postępowania państw. Na najdalszych antypodach myślenia misyjnego znajdował się bardzo silny w tradycji politycznej USA nurt izolacjonizmu, po II wojnie światowej reprezentowany przede wszystkim przez właściwych konserwatystów, a wykorzystywany także przez radykalną lewicę.

Neokonserwatystom z kilku powodów blisko było do idei misji w polityce. Najważniejsze przyczyny leżały w amerykańskiej historii i tradycji oraz w charakterze państwa, jakie się z nich wyłoniło. Bowiem, mimo głęboko zakorzenionej skłonności do izolacjonizmu, żelaznym elementem politycznego dziedzictwa Stanów Zjednoczonych jest idea *Manifest Destiny*, czyli „objawionego przeznaczenia” Ameryki (tj. USA), zgodnie z którą ma ona za zadanie opanowywać, a więc i obejmować swymi demokratycznymi instytucjami, napotkane wokół siebie ziemie. Pojęcie to weszło do obiegu około połowy XIX wieku i począt-

¹⁰ Por. R. Kagan, *Potęga i raj, Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, tłum., W. Turopolski, Warszawa 2003, o motywach wycofywania się Europy z polityki siły s. 24–48, a o roli przyspieszenia integracji europejskiej w latach 90. w przekształceniu systemu międzynarodowego s. 98–99.

kowo odnosiło się do słabo zaludnionych terenów pomiędzy najstarszymi stanami USA a Pacyfikiem, których podbój z wielu względów był czy wydawał się być dziełem szlachetniejszym niż przemoc wobec państw. Wkrótce to uzasadnienie ekspansji zaczęło odnosić do reszty kontynentu, co pogodziło ideę *Manifest Destiny* z pozornie sprzecznym z nią izolacjonizmem. Zgodnie z zaleceniami doktryny Monroe Stany Zjednoczone trzymały się z dala od problemów europejskich, uprawiały za to intensywnie własną działalność geopolityczną, z pewną pomocą metafizycznej sankcji rozciągając kontrolę nad państwami Ameryki Łacińskiej. W XX wieku logika *Manifest Destiny* objęła *per analogiam* cały świat i nowe, globalne aspiracje USA, choć nacisk musiał zostać w niej przesunięty z funkcji władczych na protekcyjne. Do tej fazy rozwoju tradycyjnej idei przyczynili się właśnie, między innymi, neokonserwatyści, poszukując argumentów na rzecz zewnętrznego zaangażowania Stanów Zjednoczonych.

Niezależnie od jakichkolwiek pozytywnie sformułowanych tradycji Stany Zjednoczone są poniekąd predestynowane do podejmowania pewnego rodzaju politycznych misji także ze względów, by tak rzec, strukturalnych – przez sam charakter państwa potężnego gospodarczo i militarnie, rozległego, a przy tym nie-etnicznego i w procesie budowy narodu skazanego na poszukiwanie alternatywnych więzi spajających wspólnotę. Trudno się dziwić, że znacznym sukcesem w konsolidacji narodu amerykańskiego towarzyszyły – początkowo sporadycznie, później coraz częściej – pokusy imperialne i że prędkiej czy później w dziejach USA musiały pojawić się przesłanki do przyjęcia pewnych funkcji imperium. Imperia kompensują brak naturalnej więzi narodowej jednoczącą misją, która ingeruje zwykle w świat zewnętrzny. Amerykańska wielonarodowość i kosmopolityzm nie stanowią oczywiście – w każdym razie od zakończenia Wojny Secesyjnej – zagrożenia dla tożsamości wspólnoty czy integralności państwa, są natomiast pozytywnym bodźcem do zewnętrznych zaangażowań, choćby poprzez działanie w życiu społecznym różnych narodowych *lobbies* czy mają pobudzający wpływ na międzynarodowe związki ekonomiczne państwa.

O ile imperium amerykańskie jest co najwyżej projektem lub hipotezą, o tyle misja, która ma szansę być jego fundamentem, posiada dość jednoznaczną i od dawna już ustaloną treść, uwarunkowaną historią USA. Amerykanów – kolonistów anglosaskich, ale także holenderskich i francuskich, a potem również imigrantów z wielu krajów świata – połączyła najpierw troska o demokratyczny rząd, jaki sobie wywalczyli, następnie zaś spoiwem narodu (czy też wspólnoty) stawał się inny atrybut politycznej wolności, *American way of life* z jego szansami na dobrobyt i prestiż otwartymi dla wszystkich, zasadniczo także dla każdego przybysza, który gotów był przyjąć jego warunki. Skoro

mitem założycielskim i zasadą rozwoju amerykańskiej *polity*¹¹ *jest popular government* – jak, z aluzją do aspektu samorządowego, Amerykanie lubią określać swój wolnościowy ustrój polityczny – to do tego samego waloru musi odwoływać się definicja charakteru obecności w społeczności międzynarodowej, czyli ewentualna misja państwa. Toteż, kiedy Stany Zjednoczone stają się policjantem świata, to, choćby na użytek krajowego poparcia dla takiej polityki, na jakimś jej poziomie, deklaracyjnym czy rzeczywistym, musi pojawiać się obrona wolności. Kiedy zarządzają światowym systemem kapitalistycznym, to najchętniej poprzez instytucje promocji wolnego handlu.

Rozumując w kategoriach interesu narodowego, a wcześniej jeszcze trwając się zagrożeniem komunistycznym, neokonserwatyści starali się poruszyć te struny w tradycji i potencjale polityki amerykańskiej, które mobilizowały państwo do międzynarodowej ofensywy. Ale mają też własne powody, by skłaniać się do polityki misji. Jednym z nich jest gotowość posługiwania się ideami i wiara w ich wagę w grze politycznej, przejęta od Leo Straussa, drugiego dopatrywałbym się w radykalnych skłonnościach do naprawy świata, które takich intelektualistów jak Irving Kristol mogły prowadzić w młodości do trockizmu, a w dalszej ewolucji ideowej pozostawały na dalszym planie.

Neokonserwatywna teoria misji Stanów Zjednoczonych jest w dużym stopniu teorią misji demokratycznego mocarstwa w ogóle. Jej punkt wyjścia dobrze chyba oddaje wywód Irvinga Kristola na temat implikacji przekształcenia się amerykańskiej republiki w potęgę imperialną: „Najwyraźniej bardzo wielu ludzi myśli, że mocarstwo polega na prostym zwielokrotnieniu zwykłej władzy państwowej i że zasady działania pierwszego da się łatwo (...) przenieść na drugie. Tymczasem między oboma przypadkami istnieje różnica jakościowa, którą można streścić następująco: mocarstwo jest potęgą «imperialną», gdyż to, czego nie czyni, ma równie duże znaczenie i konsekwencje, jak to, co czyni. (...) Mocarstwo (...) wplątane jest w sieć odpowiedzialności, z której nie ma drogi ucieczki”, a prowadząc jego politykę „nie można liczyć na rozwiązania ostateczne i bezproblemowe bytowanie” i wierzyć, że „taka lub inna korekta kierunku (...) jest zdolna usunąć napięcia nieodłączne od statusu imperialnego”¹².

Kristol, głosząc potrzebę i nieuchronność podjęcia przez Amerykę misji wobec świata, nie powołuje się bynajmniej na *Manifest Destiny*. W jego ujęciu, zaprezentowanym jeszcze u schyłku lat 60., tradycja amerykańska jest zdecydowanie izolacjonistyczna. Do końca XIX wieku – pisze Kristol – Amerykanie, oddaleni od centrum polityki światowej i nie dość potężni, by móc decydować o jej kierunku, „mogli słusznie uważać, że ich kraj służy jako znakomity oraz

¹¹ Anglojęzyczne pojęcie *polity*, wyprowadzone wprost z arystotelesowskiego *politicia*, odnosi się do całości kształtu politycznej organizacji wspólnoty, ma więc zastosowanie tam, gdzie z perspektywy socjologicznej analizuje się system polityczny. Trudno znaleźć termin polski, który spełniałby te warunki.

¹² Kristol, I., *On the Democratic Idea in America*, New York, 1972, s. 79.

inspirujący przykład zwolennikom demokratycznego rządu na całym świecie i że ta rola wzorca jest istotniejsza od jakichkolwiek działań, jakie Stany Zjednoczone mogłyby podejmować na zewnątrz¹³. Ekspansjonizm wyrażany przez *Manifest Destiny* funkcjonował równolegle, lecz, kierując się długo na terytoria słabo zagospodarowane, nie stał w ostrej sprzeczności z izolacjonizmem. Przesilenie przyszło dopiero, gdy potężniejsza Ameryka stała się światowym mocarstwem. Wtedy jednak – twierdzi Kristol – Amerykanie nadal opierali się duchowo pokusom uwikłania w świat zewnętrzny, a program Wilsona z konferencji paryskiej w 1919 r. był może „jednym z ostatnich wykwitów ducha izolacjonizmu”¹⁴: forsując zasadę samostanowienia i eliminując wojny, ład wilsonowski miał być jak gdyby ogólnoswiatową projekcją gwarancji szczęścia jednostek, zawartych w *American way of life*. Wilsonizm przyniósł jednak spektakularną porażkę, „pobudzając czysto geograficzny izolacjonizm, pocięty smugami ksenofobii”¹⁵, a bolesne rozczarowanie, podkreślone szokiem ataku na Pearl Harbor, skłoniło Amerykanów do przyjęcia, acz niechętnie, roli światowego, „imperialnego”, jak mówi Kristol, mocarstwa.

Tu dla Kristola, zawsze usposobionego mniej lub bardziej socjologicznie, zaczyna się właściwy problem. Z nową formułą amerykańskiej obecności w świecie – pisze ojciec neokonserwatyizmu – pogodził się, choć z pewnym trudem, ogół społeczeństwa, natomiast odrzucili ją intelektualisci. Tymczasem, „skoro Stany Zjednoczone jako najpotężniejsze mocarstwo świata nie mogą uniknąć odgrywania takiej imperialnej roli, sprzeciw intelektualistów sprawi tylko, że rola ta będzie odgrywana w atmosferze wewnętrznego sporu ideologicznego, który osłabi stanowczość [amerykańskich] mężów stanu i zmniejszy wiarygodność ich polityki za granicą”¹⁶. Ten problem nie jest już jednak problemem polityki misji, lecz jej popularyzacji w społeczeństwie. Wyostwiają go socjologiczne spostrzeżenia Kristola: jego zdaniem, opiniotwórcze środowisko intelektualistów nie związało się z elitą władzy, nie tworzy też – jak dawniej – elity samoistnej, lecz, w wyniku upowszechnienia wyższej edukacji po II wojnie światowej, stało się masą społeczną i jako taka wytworzyło własny ruch masowy – naznaczony, oczywiście, równie silnie, jak tęsknotami izolacjonistycznymi, resentymentem do elity władzy, cokolwiek by ona proponowała. Ta wczesna, pre-neokonserwatywna diagnoza dobrze określa osamotnioną pozycję, w jakiej w latach 70. znaleźli się zwolennicy Kristola. Dobrze też tłumaczy logikę żarliwie toczoną przez neokonserwatystów w ciągu następnych dekad batalii ideologicznej w USA, w której – jak wyrazili się z podziwem młodzi polscy konserwatyści – „odbyli swój długi marsz przez instytucje, zre-

¹³ Ibidem, s. 80.

¹⁴ Ibidem, s. 81.

¹⁵ Ibidem.

¹⁶ Ibidem, s. 83.

alizowali w dużej mierze zalecenia Gramsciego i osiągnęli hegemonię ideologiczno-kulturalną na prawicy amerykańskiej”¹⁷.

Czy odnieśli sukcesy tylko na prawicy? Czy tylko z nią mają szansę znaleźć wspólny język, czy też istnieje potencjał porozumienia *neocons* z owym krystolowskim, wrażliwym w końcu głównie na idee lewicowe, „masowym ruchem intelektualnym”? Ruch ten nie był naturalnie anty-misyjny. Choć uderzał w ton pokory (szczególnie bezpośrednio po traumie Wietnamu) i rzeczowości (szczególnie w epoce Clintona), to podsuwał też społeczeństwu amerykańskiemu inne misje: pacyfizmu, solidarności ze światową lewicą, sprawiedliwości społecznej, budowy racjonalnego ładu globalnego. Nie był też konsekwentnie nieprzyjazny wobec klasy politycznej; uosabiany dziś nieźle przez dokumentalistę Michaela Moore’a, odnosi się ze znacznie większą zjadliwością do polityków republikańskich niż demokratycznych. W ciągu czterdziestu lat od chwili publikacji cytowanego eseju Kristola stopniowo różnicował swoją niechęć do idei prawicowych, a koncepcje wysuwane przez neokonserwatystów stawały się dla niego mniej skandaliczne. Obecnie gdzieś w sferze zapалу do konstrukcji systemu *global governance* wrażliwość *neocons* i ogółu intelektualistów amerykańskich bezprecedensowo się do siebie zbliżyły. Mimo wagi takich okoliczności, jak bankructwo realnego socjalizmu, zbliżenie to można uznać za kolejny dowód zwycięstwa neokonserwatyizmu w jego batalii ideologicznej, ale także dowód, że mechanizm jego atrakcyjności jest bardziej skomplikowany, niż się potocznie uznaje, i nawet dla uważnego analityka jest trudny do uchwycenia.

Polityka siły

Pora zastanowić się nad ideą, z którą dziś neokonserwatyści kojarzeni są najsilniej w szeroko rozpowszechnionym i uproszczonym oglądzie, a na którą skądinąd monopol wydaje się mieć szkoła realistyczna, diametralnie odległa od ideologizowania polityki czy dostrzegania w niej pola do realizacji misji. Przez ideę polityki siły należy rozumieć przekonanie, że bezpośrednia, czysta (a więc militarna) siła, zdolność wywarcia przymusu, jest decydującym, lub przynajmniej istotnym, czynnikiem kształtującym stosunki międzynarodowe. Sąd taki popada w nieuniknione perypetie etyczne; nie musi wiązać się z normatywną gloryfikacją przemocy, lecz dyskwalifikuje jako niecelowe działania polityczne nie poparte siłą, a tym samym usprawiedliwia przemoc, a przynajmniej groźbę jej użycia. Te perypetie przekładają się na zamieszanie w sferze poznawczej: każdy program agresji w stosunkach zewnętrznych państwa

¹⁷ *Raport o wojnie w Iraku*, „Stańczyk” 2003, nr 1–2, cyt. za: J. Bartyzel, op.cit., s. 39. Przywołany w *Raporcie* Antonio Gramsci, włoski filozof polityczny i komunista, twierdził, że władza w nowoczesnym państwie kapitalistycznym opiera się na kulturalnej hegemonii klasy rządzącej; skuteczną rewolucję komunistyczną miało więc, jego zdaniem, poprzedzać zdobycie i utrwalenie wpływów w instytucjach społeczeństwa obywatelskiego.

uchodzi za przykład myślenia w kategoriach polityki siły spod znaku szkoły realistycznej, a każdy akt pesymizmu co do roli środków koncyliacyjnych w rozwiązywaniu konfliktów kwalifikowany jest intuicyjnie jako wsparcie dla polityki agresji. Zamieszanie to obrazują wieczne spory o stopień autentycznego zaangażowania agresywnych ruchów i reżimów w idee czy ideologie, które im służą – dylematy typu „czy Stalin wierzył w komunizm?”. Także w analizie związku neokonserwatystów amerykańskich z ideą polityki siły daje o sobie znać pewna ambiwalencja. Można ją sformułować w pytaniu: „jeśli *neocons* zalecają wykorzystywanie przez USA ich potęgi dla narzucania innym państwom pewnych rozstrzygnięć, to dlatego, że w przeciwnym razie – ich zdaniem – zagroziłby im (Stanom Zjednoczonym) bardziej bezwzględny przeciwnik, czy też dlatego, że – znów ich zdaniem – społeczność międzynarodowa lub jakaś jej część tego od nich oczekuje?”.

Wydaje się, że cała złożona formacja, z której neokonserwatyści (a w każdym razie ich pierwsze pokolenie) wyszli i pod wpływem której zawsze pozostawali, zarówno w jej aspekcie radykalno-lewicowym, jak i strausowskim, zasadniczo wzbraniała im przyjęcia za swoją idei polityki siły, a dokładniej – sankcjonowała siłę, choćby i stosowaną bezwzględnie, tylko jako narzędzie zmiany w sferze wykraczającej poza siłę – sferze wartości czy idei. Mówiąc lapidarnie, siła musiała coś tworzyć. Jest to punkt, w którym dochodzi do zaskakującego spotkania Straussa z jego śmiertelną powagą w kwestii realnego funkcjonowania takiego lub innego ustroju oraz lewicowego radykalizmu z jego zasadą „cel uświęca środki”. Siła „naga” pozostała domeną ekipy Kissingera, który zresztą używał takiego podejścia do prowadzenia polityki znacznie bardziej pokojowej od propozycji neokonserwatystów z lat 70. Z kolei neokonserwatyści po siłę „usankcjonowaną” sięgali w swej pierwszej dekadzie coraz śmielej – choć oczywiście czysto teoretycznie – powodowani przekonaniem o potrzebie pilnego budowania przeciwwagi dla komunizmu, czy też bloku sowieckiego.

Z drugiej strony, na co, jeśli nie na politykę konkretną i uwzględniania układu sił, a więc politykę siły w jej wymiarze nie-dramatycznym, powołuje się Kristol w swym opublikowanym w 1967 roku pamflecie na kulturę polityczną intelektualistów amerykańskich? Broniąc racji polityków wobec krytyki intelektualistów, autor *On the Democratic Idea in America* wskazuje na, by tak rzec, naturalną przewagę kompetencyjną tych pierwszych: „nie chodzi o to, że intelektualiści w sprawach polityki zagranicznej zawsze się mylą – tak nie jest i raczej nie mogłoby być, choćby na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa. Uderza natomiast to, że wypowiedzi intelektualistów, słuszne czy niesłuszne, bardzo często są z punktu widzenia polityka oderwane od istoty rzeczy (*irrelevant*). A to, że intelektualiści takie właśnie wygłaszają, wynika z ich samo-

określenia jako istot ideologicznych”¹⁸. Z „punktu widzenia polityka” niewątpliwie na pierwszym planie – a w każdym razie na poczesnym miejscu – widnieją argumenty siły własnej, której można użyć, i siły cudzej, której trzeba się obawiać. Gotowość przyjęcia tego punktu widzenia przez kogoś, kto sam jest w pozycji intelektualisty, oznacza akceptację autonomii polityki jako sfery, której podstawowym pojęciem jest siła, i ten krok, zapewne zdroworozsądkowy, wyznacza drugą z dróg neokonserwatystów w stronę polityki siły. Jest to droga bardziej bezpośrednia, ignorująca potrzebę usankcjonowania siły, ale też *neocons* posuwają się po niej powoli. Ronald Reagan, który ostentacyjnie używał amerykańskiej potęgi, aby zapędzić Związek Radziecki w ślepy zaułek, cieszył się znacznie większym ich poparciem niż George Bush, który używał jej dyskretniej, i do tego, aby potencjalne zagrożenia szachowały się nawzajem. To administracja Busha mogłaby argumentować, że zastrzeżenia neokonserwatywnych intelektualistów wobec ograniczenia poparcia dla Izraela w konflikcie bliskowschodnim są *irrelevant*¹⁹. Najwyraźniej deklarowane przez Kristola zaufanie do perspektywy, jaką daje aktualne rządzenie, podtrzymywane było wybiórczo.

Neokonserwatyzm obecnej, drugiej fazy przynajmniej z pozoru wyzbył się wahań wobec akceptacji idei polityki siły. Jego przeciwnicy dysponują całym arsenałem przykładów i cytatów, mogących świadczyć o głębokiej pogardzie *neocons* dla prawa międzynarodowego i cudzych aspiracji. Anegdotyczna jest w tym względzie tzw. doktryna Ledena, czyli wypowiedź neokonserwatywnego historyka Michaela Ledena, analityka faszystów i zwolennika bezwzględnych działań dla osiągnięcia założonych celów, wydobyta z jakiegoś jego przemówienia i żartobliwie ochrzczone „doktryną” przez dziennikarza „National Review”: „Raz na jakieś dziesięć lat Stany Zjednoczone muszą wziąć za frak takie czy inne gówniane państwko i rzucić nim o ścianę, choćby po to, żeby pokazać światu, że nam nikt nie podskoczy”²⁰. W tych prowokujących słowach, wziętych *in abstracto*, nie ma cienia sprzeczności z najczystsza wersją idei polityki siły. Lecz Jonah Goldberg przytoczył je wiosną 2002 roku dla wzmocnienia swej tezy, że atak na Irak jest konieczny, aby ostatecznie zaprowadzić pokój i ład – ściślej: amerykański ład – w regionie Bliskiego Wschodu. Jeśli taka intencja daje się jeszcze pogodzić z ideą polityki siły, choć jest w obrębie jej logiki dość zaskakująca, to zakończenie artykułu w „National Review” przynosi dodatkowe uzasadnienie promowanego przedsięwzięcia: stosunki międzynarodowe „nie są sportową grą”, już raczej „spacerniakiem w więzieniu”, toteż, inaczej niż w lidze futbolowej, „dzisiejsza walka i zwycięstwo ozna-

¹⁸ Kristol, I., *On the Democratic Idea...*, op.cit, s. 74.

¹⁹ Por. Komentarz do współczesnej Ameryki. Rozmowa z Normanem Podhoretzem, redaktorem naczelnym miesięcznika „Commentary”, „Arka” 1992, nr 41, s. 38–39.

²⁰ <http://www.nationalreview.com/goldberg/goldberg042302.asp>, 20.04.2007.

czają, że jutro nie trzeba już będzie wcale walczyć, a może nawet, że reguły spacerniaka zmieniają się i przestanie on być tym, czym jest”²¹.

To streszczenie krótkiego, doraźnego artykułu, jakich wiele w neokonserwatywnej prasie ostatnich lat, pozwala zobaczyć, jak łatwo we współczesnej neokonserwatywnej doktrynie polityki zagranicznej motyw bezwzględnej interwencji łączy się z motywem powszechnego dobra, czy też – by wyrazić to samo bardziej paradoksalnie – logika przemocy i egoizmu prześlizguje się w logikę pokoju i bezinteresowności. Jeśli używam zwrotu „prześlizguje się”, to, aby zasygnalizować niepokój o szczerłość argumentów, przynależących do owej drugiej logiki. Ich szlachetny wydźwięk nie może nie budzić podejrzeń, że są przykładem hołdów, „jakie występki składa cności”. Podobnie karkołomne połączenie cynicznych planów ze szlachetnymi i naiwnymi uzasadnieniami stosowała propaganda realnego socjalizmu, który przedstawiał przemoc jako przykrą konieczność na drodze do sprawiedliwości społecznej. Czy można więc z agresywnych koncepcji globalizmu demokratycznego wykreślić warstwę idealistyczną jako czczy ozdobnik? Czy neokonserwatyści naprawdę wierzą, że ich krucjaty naprawią świat? I jaki jest w końcu cel: „pokazać, że nikt nam nie podskoczy”, czy budować podstawy pokoju?

Analiza neokonserwatyizmu staje w tym miejscu przed nieznośnym dylematem. Takich dwoistych konstrukcji myślowych, jak przedstawiony powyżej wywód na temat planowanego ataku na Irak, niepodobna zredukować do czystej polityki siły, wykreślając z nich owe gruszki na wierzbie, czy też, w najlepszym razie, obietnice na wyrost, jakich żadna *Realpolitik* nie przewiduje. Ale niepodobna też potraktować tych obietnic poważnie – nawet nie z powodu ich podejrzanej szlachetności, lecz z powodu ich rozbrajającego maksymalizmu. Po kimś, kto – jak Jonah Goldberg w cytowanym artykule – mówi cynicznie i trzeźwo „pokój można osiągnąć tylko przez siłę”, spodziewalibyśmy się, że doda: „I tak będzie zawsze. Przed takim paradoksem będzie stawać każde pokolenie”. Tymczasem dowiadujemy się, że „bój to jest nasz ostatni”, co może brzmieć zachęcająco tylko dla tych amerykańskich intelektualistów, którym Irving Kristol wypominał, że w swych projektach politycznych niepoprawnie zakładają dobroć i niezłomność człowieka.

Aby oddać sprawiedliwość neokonserwatywnej szkole demokratycznego globalizmu, trzeba odwołać się do bardziej uogólnionego i bardziej spójnego wykładu na temat roli siły w polityce międzynarodowej, jaki można znaleźć w głośnym eseju Roberta Kagana *Potęga i raj*, poświęconym dramatycznej rozbieżności między amerykańską i europejską wizją stosunków międzynarodowych. Kagan wskazuje, że Europa przyswoiła sobie wizję trwałego pokoju światowego i wierzy w pokojowe środki do osiągnięcia tego celu, podczas

²¹ Ibidem.

gdy Amerykanie wciąż doceniają tradycyjną rolę siły, tkwiąc „w anarchicznym hobbesowskim świecie, w którym nie można liczyć na międzynarodowe prawa i reguły”²². Dowodzi, że odmienność wizji zrodziła się z przesłanek materialnych („kiedy masz młotek, wszystkie problemy zaczynają wyglądać jak gwoździe”²³), że Amerykanie pielęgnują obraz świata jako dżungli, ponieważ są silni, ale też demonstruje wyższość moralną, a przy tym nadrzędną racjonalność tego stanowiska. Europa – w ujęciu Kagana – wyrzeka się siły, sądząc, że Ameryka będzie jej bronić, Ameryka zaś rzeczywiście broni – po części dlatego, że nie ma innego wyjścia, po części – gdyż bezpieczna Europa jest elementem ładu świata, na którym Ameryka korzysta. Ameryka jest więc niby ofiarą europejskiej dezercji z historii, ale na mocy tego samego mechanizmu przypada jej rola eksponowana i zaszczytna – hipermocarstwa i gwaranta światowego ładu. Zatem także i w rozumowaniu Kagana, którego nie kompromitują już dolepione frazesy o świetlanej przyszłości, ostateczne uzasadnienie polityki siły jest idealistyczne: Stany Zjednoczone nie dlatego muszą być silne, że wróg czyha na ich słabość, lecz dlatego, że przyjaciele, a raczej podopieczni, czekają na ich siłę. Jeśli jest to polityka siły, to *sui generis*; jeśli jest to „tkwienie w historii”, to amerykańskiej – historii zdobywania, a nie rywalizacji. Młodzi neokonserwatyści, wyznaczając polityce zagranicznej kurs neo-reaganowski²⁴, choć brakło już Związku Radzieckiego, skazali Stany Zjednoczone na taką hybrydową doktrynę.

Abstract

The text published in the present issue is a part of an essay on the US Neoconservatism, which aimed at the analysis of ideas inherent in this movement from its origins in late 1960s to the opening of the present century and Neoconservative commitment to the President George W. Bush foreign policy. Selected chapters cover the features that the author believes to be crucial for the Neoconservative ideology: a concept of a positive rejection of Communism and opposition to the Soviet Union; a high notion of mission in the realm of politics, which was to be developed into the idea of American struggle for global spreading of democracy; an embracement of a Realist concept of power politics.

Abstrakt

Publikowany tekst jest fragmentem eseju o amerykańskim neokonserwatyźmie, skoncentrowanego na ideach obecnych w tym ruchu od czasu jego ukształtowania się na przełomie lat 60. i 70. XX w. po pierwsze lata XXI w. i zaangażowanie neokonserwatystów w politykę zagraniczną administracji George’a W. Busha. Wybrane rozdziały omawiają kluczowe, zdaniem autora, motywy ideologii neokonserwatywnej: ideę stanowczego oporu wobec komunizmu i ZSRR w okresie schyłkowej zimnej wojny, koncepcję polityki jako misji i jej konkretyzację w projekcie szerzenia przez USA demokracji w wymiarze globalnym oraz afirmację realistycznej idei polityki siły.

²² R. Kagan, op.cit, s. 9.

²³ Ibidem, s.36.

²⁴ Kristol, W., Kagan, R., *Towards a Neo-Reaganite...*, op.cit, s. 18.